

SZCZEPMY DZIECI

W Polsce rośnie niechęć do szczepień, a w Europie zdążyła już doprowadzić do największej od lat epidemii odry.

TOMASZ STAWISZYŃSKI

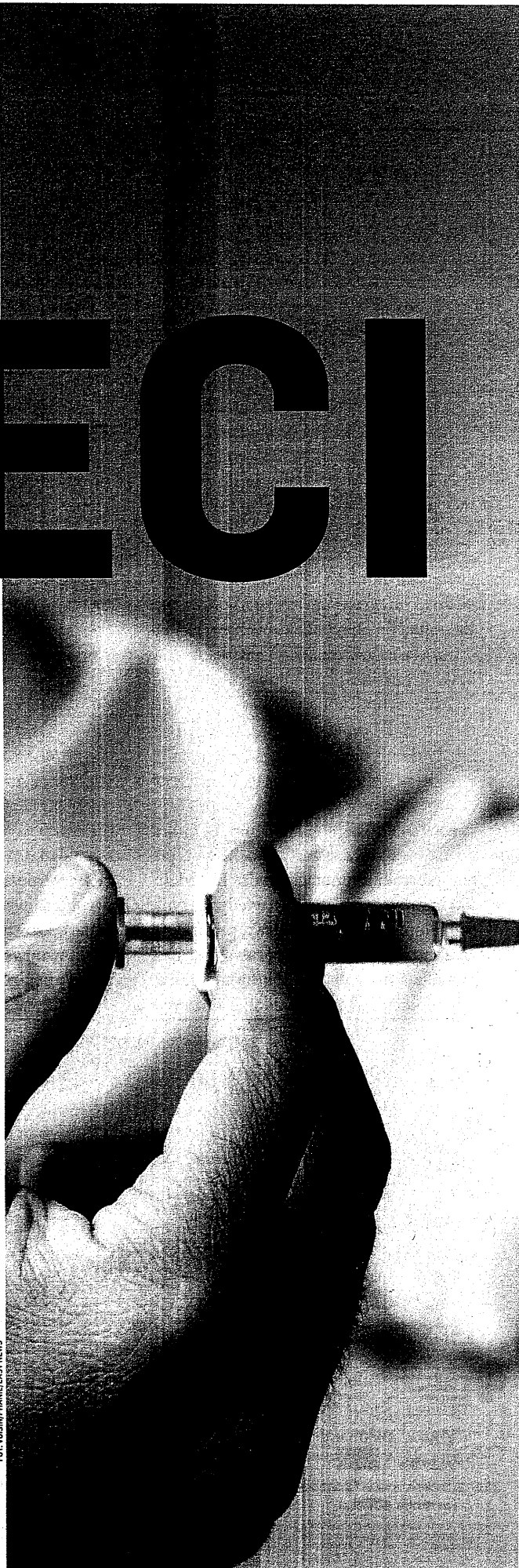
Czy szczepienia są bezpieczne? Czy nie wiążą się z ryzykiem ciężkich powikłań, w tym przede wszystkim autyzmu? Czy lekarze, urzędnicy i politycy nie są jedynie marionetkami poruszonymi przez żadne pieniądze firmy farmaceutyczne, które cynicznie pomnażają zyski, niszcząc przy okazji zdrowie, a może i życie naszych dzieci? Takie pytania zadaje sobie dziś w Polsce coraz więcej osób. Jedna z najbardziej niebezpiecznych teorii spiskowych w dziedzinach medycyny zyskuje na popularności także w naszym kraju.

Odra szaleje w Europie

Według szacunków dr. n. med. Pawła Grzesiowskiego, eksperta ds. szczepień z Instytutu Profilaktyki Zakażeń, około czterech tysięcy polskich dzieci, czyli mniej więcej 1 proc. wszystkich urodzonych, co roku nie jest poddawanych wymaganym szczepieniom ze względu na motywowany ideologicznie brak zgody rodziców. Na razie w skali całego społeczeństwa nie jest to wielki odsetek. Zwłaszcza że w Polsce szczepienia są obowiązkowe (za odmowę grozi jednak w praktyce tylko niewielka grzywna).

Podobnie jest w Stanach Zjednoczonych, ale w większości krajów Unii Europejskiej są one po prostu rekomendowane i refundowane. Jednak eksperci nie mają wątpliwości: jeśli damy się zastraszyć antyszczepionkowej propagandzie, za kilka lat zapanuje u nas taka sama epidemia odry, jaka teraz szaleje we Francji i Włoszech.

FOT. VOISIN/PHANIEAST NEWS



► W tych właśnie krajach - a wcześniej także w Anglii, która epidemię odry przechodziła kilka lat temu, ale do tej pory nie może do końca uporać się z podwyższonymi wskaźnikami zachorowalności - liczba szczepień spadła w ostatnim dziesięcioleciu znacznie poniżej 90 proc. (co w przypadku chorób zakaźnych jest granicą bezpieczeństwa). Nie trzeba było długo czekać, żeby tak radykalny spadek zaowocował dramatycznymi statystykami. Tylko w pierwszych pięciu miesiącach tego roku w Europie stwierdzono ponad 20 tys. przypadków zachorowań na odrę. Dla porównania - w całym 2010 r., kiedy epidemia dopiero się rozkręcała, zanotowano ogółem 30 tys. przypadków.

Wzrost jest więc gwałtowny - alarmują specjaliści z Europejskiego Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób Zakaźnych i Światowej Organizacji Zdrowia. I spowodowany właśnie spadkiem liczby szczepień, bo ponad 85 proc. spośród wszystkich zakażeń odrą, z jakimi mamy obecnie w Europie do czynienia, wystąpiło u osób nigdy nieszczepionych. Dlatego 3 czerwca Rada Unii Europejskiej wezwała kraje członkowskie do bardziej aktywnej polityki szczepiennej.

- Odra to wysoce zakaźna, ciężka, wirusowa choroba, która może powodować bardzo poważne powikłania, prowadzące nawet do śmierci. Rezygnując ze szczepienia, narażamy na ogromne niebezpieczeństwo nie tylko własne, lecz także cudze dzieci - mówi prof. Magdalena Marczyńska, kierownik Kliniki Chorób Zakaźnych Wieku Dziecięcego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego i ordynator dziecięcego oddziału chorób zakaźnych w Wojewódzkim Szpitalu Zakaźnym w Warszawie przy ul. Wolskiej.

Tymczasem w kolejce do reaktywacji czeka jeszcze wiele takich chorób, o których na dobre zdążyliśmy już zapomnieć. Na przykład krztusiec, błonica albo polio. - To jak najbardziej realistyczny scenariusz - mówi dr Iwona Paradowska-Stankiewicz, kierownik Pracowni Epidemiologii Chorób Zwalcanych Drogą Szczepień w Pań-

stwowym Zakładzie Higieny. - Jeszcze kilkanaście lat temu nie wyobrażałam sobie, że tego typu pseudonaukowe mity mogą z taką siłą oddziaływać na ludzką wyobraźnię i wpływać na decyzje. Dzisiaj jednak sytuacja jest naprawdę poważna. Jeśli ten trend się utrzyma, możemy za kilka lat stanąć wobec ogromnego epidemiologicznego zagrożenia.

Fatszywe źródło paniki

Cała ideologia, która w jakimś stopniu odpowiada za obecną dramatyczną sytuację w Europie, ma jedno, łatwe do zidentyfikowania źródło. Artykuł dr. Andrew Wakefielda, angielskiego chirurga, opublikowany w 1998 roku na łamach „The Lancet” - jednego z najbardziej prestiżowych pism medycznych na świecie. Z przeprowadzonych przez Wakefielda i jego 12 współpracowników badań wynikać miało, że istnieje uchwytana zależność pomiędzy stosowaniem połączonej szczepionki na odrę, świnkę i różyczkę (zwanej MMR, podawanej w ramach kalendarza szczepień w dwóch dawkach - w 13. miesiącu i 10. roku życia) a autyzmem.

Panika, jaką wywołały tezy Wakefielda, spowodowała ogromny spadek liczby szczepień. W Wielkiej Brytanii w ciągu następnych dwóch-trzech lat zaledwie 72 proc. dzieci otrzymało szczepionkę przeciwko odrze. Fala antyszczepionkowej propagandy nie opadła nawet wówczas, gdy zespół powołany przez amerykański Narodowy Instytut Zdrowia, kierowany przez prof. Mary McCormick, pediatrę z Harvardu, opublikował w 2001 roku raport, którego konkluzja była jednoznaczna: pomiędzy szczepieniami a autyzmem nie ma żadnej zależności. Autyzm jest skomplikowanym zaburzeniem rozwojowym o nieustalonej przyczynie, jednak z całą pewnością nie wiąże się ono ze szczepieniami - wśród dzieci, które były szczepione, i tych, które nie były, przypadki autyzmu zdarzają się z równą częstotliwością. Kolejne badania - na czele z ogłoszonym niedawno raportem przygotowanym w amerykańskim Instytucie Me-

dycyny przez zespół pod przewodnictwem prof. Ellen Wright Clayton - potwierdziły, że Wakefield zwyczajnie kłamał i manipulował danymi. Cała prawda okazała się jednak szokująca.

W latach 2004-2006 dziennikarz „The Sunday Times” Brian Deer opublikował serię artykułów, w których ujawnił, że Wakefield był także w poważnym konflikcie interesów. Kilkoro spośród 12 dzieci, których przypadki posłużyły za kanwę publikacji w „The Lancet”, Wakefieldowi polecił brytyjscy prawnicy przygotowujący pozew przeciwko firmie farmaceutycznej produkującej MMR. Co więcej - w sporej części współfinansowali oni badania, a na konto Wakefielda wpłynęło od nich około 400 tys. funtów.

To był koniec. Jedenaścioro współpracowników Wakefielda wycofało nazwiska z publikacji, brytyjski sąd medyczny odebrał mu prawo wykonywania zawodu, a „The Lancet” opublikował oświadczenie, w którym zaprzeczył wnioskowi przedstawionemu w artykule, i - co jest rzeczą niezwykle rzadką - oficjalnie usunął tekst ze swojego archiwum. Wydawało się, że sprawa jest definitywnie zamknięta.

Realne zagrożenia?

- I jest definitywnie zamknięta - mówi dr Paweł Grzesiowski, nie ukrywając irytacji. - To wręcz nieprawdopodobne, że tak gruntownie i wielokrotnie zdemaskowany pseudonaukowy hubbug wciąż żyje w internecie. I że - co gorsza - powołują się nań często osoby z tytułami naukowymi. To jest w tym wszystkim najgorsze, bo przecież do zdezorientowanych rodziców, którzy troszczą się o dzieci i chcą dla nich jak najlepiej, trudno mieć pretensje. Oni są tylko ofiarami wprowadzanymi w błąd przez pseudoekspertów.

W Polsce osobą najsilniej zaangażowaną w antyszczepionkową kampanię jest biolog prof. Maria Dorota Majewska, która na stałe mieszka w Stanach Zjednoczonych, a przez pewien czas współpracowała z Instytutem Psychiatrii i Neurologii w Warszawie. W 2008 roku wystosowa-

ła list otwarty do wszystkich możliwych instytucji mających związek ze szczepieniami, w którym powoływała się m.in. na wspomnianą publikację Wakefielda oraz na równie nieprawdziwe i niepotwierdzone żadnym badaniem pogłoski o szkodliwości tiomersalu, związku etylortęci używanego jako konserwant w niektórych szczepionkach.

- Rozważaliśmy w środowisku medycznym podanie prof. Majewskiej do sądu, ponieważ nie będąc lekarzem, wprowadza ludzi w błąd w zakresie specjalistycznych procedur medycznych, co może doprowadzić do choroby czy śmierci, a to jest w polskim prawie karalne - mówi dr Paweł Grzesiowski. - Uznaliśmy jednak, że to jest ostateczność, bo o racjach naukowych powinny decydować argumenty merytoryczne, a nie prawne. Ale uważam to

za karygodne, kiedy człowiek z tytułem naukowym głosi nieprawdziwe informacje.

Z prof. Majewską nie udało mi się skontaktować. Na e-mail z prośbą o rozmowę o realnych zagrożeniach związanych ze szczepieniami nie odpowiedziała do czasu zamknięcia tego wydania „Newsweeka”. O realne, a nie wyobrażone zagrożenia związane ze szczepieniami zapytałem więc dr. Grzesiowskiego.

- Oczywiście, że szczepionki, tak jak każdy preparat podany do organizmu, mogą wywołać niepożądane reakcje, czyli tak zwany niepożądany odczyn poszczepienny. Procentowo to jednak naprawdę znikomy odsetek, a większość ogranicza się do miejscowego zaczerwienienia, opuchlizny czy gorączki - mówi. - Cięższe przypadki niepożądanych odczynów poszczepiennych, jak wstrząs anafilaktycz-

ny czy silna reakcja alergiczna, zdarzają się sporadycznie - u dzieci, które mają wrodzone upośledzenia odporności albo uśpione choroby autoimmunologiczne. Dlatego właśnie dzieci powinny być przed zaszczepieniem starannie badane.

- Przypadki naprawdę negatywnych reakcji na szczepienia - dodaje prof. Magdalena Marczyńska - to statystycznie kropla w morzu. Oczywiście, nie można nigdy wykluczyć, że coś się zdarzy. Ryzyko towarzyszy nawet zażyciu zwykłej aspiryny. Musimy po prostu zadać sobie pytanie: czy chcemy wrócić do czasów, kiedy ospa dziesiątkowała europejskie społeczeństwa, kiedy nie było szczepień, antybiotyków, a nawet miejscowego znieczulenia?



Napisz do autora
tomasz.stawiszynski@newsweek.pl